EMILY HENRY

LUDZIE, KTÓRYCH SPOTYKAMY NA WAKACJACH

Powieść autorki bestsellera **Beach read**

EMILY HENRY

LUDZIE, KTÓRYCH SPOTYKAMY NA WAKACJACH

Przełożyła Aleksandra Weksej

Tytuł oryginału:
People We Meet on Vacation

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk
Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska
Korekta: Beata Wójcik
Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski
Projekt okładki: Ashley Tucker
DTP: Maciej Grycz

People We Meet on Vacation
Copyright © 2021 by Emily Henry
All rights reserved.
Readers Guide copyright © 2021 by Emily Henry

Copyright © 2022 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Aleksandra Weksej, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2022
ISBN 978-83-67247-08-5

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl

1

Te wakacje

– Poppy – odzywa się Swapna ze szczytu matowoszarego stołu konferencyjnego. – A ty co masz?

Jak na wielkoduszną władczynię imperium „Relaksu i Odpoczynku", Swapna Bakshi-Highsmith nie mogłaby chyba w mniejszym stopniu uosabiać dwóch wartości kluczowych dla naszego wspaniałego czasopisma.

Ostatnio odpoczywała jakieś trzy lata temu, kiedy była w połowie dziewiątego miesiąca ciąży i lekarz kazał jej leżeć. Nawet wtedy jednak łączyła się ciągle z biurem na wideokonferencjach, z laptopem ustawionym na brzuchu, więc nie sądzę, żeby szczególnie się relaksowała. Wszystko jest w niej ostre, szpiczaste i eleganckie, począwszy od zaczesanych do tyłu włosów, ściętych krótko jak u modelek z wybiegu, a skończywszy na nabijanych ćwiekami szpilkach od Aleksandra Wanga.

Kreska, którą rysuje sobie na powiekach, mogłaby przeciąć aluminiową puszkę, a jej szmaragdowe spojrzenie potrafiłoby

ją później zgnieść. W tym momencie jest skierowane prosto na mnie.

– Poppy? Halo?

Mrugam parę razy, żeby otrząsnąć się z zamyślenia, i odkasłuję, podsuwając się na krześle. Ostatnio często mi się to zdarza. Kiedy pracuje się na stanowisku, które wymaga pojawiania się w biurze tylko raz w tygodniu, niezbyt dobrze jest bujać w obłokach przez pół spotkania jak dzieciak na matmie, zwłaszcza na oczach tyleż przerażającej, co inspirującej szefowej.

Przyglądam się leżącemu przede mną notatnikowi. Kiedyś przychodziłam na te piątkowe zebrania z dziesiątkami nagryzmolonych w pośpiechu pomysłów. Propozycji na artykuły o nieznanych zagranicznych festiwalach, o restauracjach słynnych tylko wśród okolicznych mieszkańców, serwujących przaśne desery smażone w głębokim tłuszczu, o zjawiskach przyrodniczych występujących tylko na wybranych plażach w Ameryce Południowej, o obiecujących winnicach z Nowej Zelandii – albo o nowych trendach wśród poszukiwaczy wrażeń i sposobach na głęboki relaks dla miłośników SPA.

Dawniej sporządzałam te notatki w stanie jakiegoś przynaglenia, tak jakby każde z tych doświadczeń, o których marzyłam, było żywym stworzeniem rozwijającym się w moim ciele, wypuszczającym gałęzie i napierającym od wewnątrz, żeby się ze mnie wydostać. Na trzy dni przed tymi spotkaniami wpadałam w rodzaj gorączkowego transu guglowania: przeglądałam setki zdjęć z miejsc, w których nigdy dotąd nie byłam, i czułam w brzuchu pomruk osobliwego głodu.

Dziś jednak spędziłam tylko dziesięć minut na wypisywaniu nazw krajów.

Krajów, nawet nie miast.

Swapna patrzy na mnie, czeka, aż przedstawię jej pomysł na swój kolejny świetny wakacyjny materiał na przyszły rok, a ja gapię się na słowo „Brazylia".

Brazylia to piąty co do wielkości kraj na świecie. Stanowi pięć i sześć dziesiątych procenta masy Ziemi. Nie da się napisać krótkiego, chwytliwego artykułu na temat wakacji w Brazylii. Trzeba by wybrać przynajmniej jeden konkretny region.

Przewracam stronę notatnika i udaję, że przyglądam się notatkom na kolejnej. Jest pusta. Kiedy mój kolega Garrett przechyla się w moją stronę, jakby chciał zerknąć mi przez ramię, zamykam z trzaskiem zeszyt.

– Petersburg – mówię.

Swapna unosi jedną brew, zaczyna chodzić wzdłuż szczytu stołu.

– O Petersburgu pisaliśmy w wydaniu wakacyjnym trzy lata temu. O festiwalu podczas białych nocy, pamiętasz?

– Amsterdam? – rzuca obok mnie Garrett.

– Amsterdam to wiosenne miasto – oznajmia Swapna z nutą rozdrażnienia. – Nie można pisać o Amsterdamie i nie wspomnieć o tulipanach.

Słyszałam kiedyś, że Swapna odwiedziła ponad siedemdziesiąt pięć krajów, w tym wiele dwukrotnie.

Teraz przystaje z telefonem w dłoni i w zastanowieniu postukuje nim o drugą rękę.

– Poza tym Amsterdam jest taki… modny.

Swapna ma w sobie głęboko zakorzenione przekonanie, że być w modzie oznacza tak naprawdę być już w tyle za modą. Jeśli wyczuje, że duch epoki zaczyna spoglądać przychylnym okiem na Toruń, Toruń spada z wokandy na następne dziesięć lat. Na ścianie przy boksach biurowych dosłownie

wisi przypięta pinezką Lista (choć akurat Torunia na niej nie ma) miejsc, o których w „RiO" NIE WOLNO PISAĆ. Każda pozycja zostaje tam umieszczona ręką szefowej i opatrzona datą, a wśród pracowników krąży coś w rodzaju podziemnej puli zakładów dotyczących momentu, w którym dane miejsce zostanie skreślone z Listy. Trudno o więcej cichej ekscytacji w biurze, niż kiedy Swapna wkracza o poranku do redakcji, z dizajnerską torbą na laptopa przewieszoną przez ramię, i maszeruje wprost do Listy z wyciągniętym zawczasu długopisem, żeby wykreślić jedno z zakazanych miast.

Wszyscy patrzą z zapartym tchem, zastanawiając się, które miasto zostanie wydobyte z mroków „RiO", a kiedy Swapna znika bezpiecznie za zamkniętymi drzwiami swojego gabinetu, ten, kto siedzi najbliżej Listy, podbiega do niej, odczytuje skreśloną pozycję i obraca się, by szeptem obwieścić nazwę szczęśliwego miasta pozostałym pracownikom. Potem zazwyczaj następuje cicha celebracja.

Zeszłej jesieni, kiedy Paryż został uwolniony z Listy, ktoś otworzył szampana, a Garrett wyciągnął czerwony beret z szuflady w biurku, gdzie schował go chyba właśnie na tę okazję. Nosił go przez cały dzień, ale zrywał z głowy za każdym razem, gdy usłyszał szczęknięcie i przeciągły zgrzyt drzwi gabinetu Swapny. Myślał, że ujdzie mu to na sucho, dopóki wieczorem, kiedy Swapna wychodziła z biura, nie zatrzymała się przy jego miejscu i nie powiedziała: „*Au revoir*, Garrett".

Jego twarz przybrała ten sam odcień co beret i choć według mnie Swapna tylko sobie zażartowała, on nigdy do końca nie odzyskał pewności siebie.

Nazwanie Amsterdamu „modnym" sprawia, że jego policzki barwią się teraz już nawet nie na kolor beretu, ale od razu na buraczkowy szkarłat.

Ktoś inny rzuca wyspę Cozumel. A potem głosujemy nad Las Vegas, nad którym Swapna przez chwilę się zastanawia.

– Vegas mogłoby być dobre. – Patrzy prosto na mnie. – Poppy, nie sądzisz, że Vegas mogłoby być dobre?

– Zdecydowanie – popieram ją.

– Santorini – wtrąca Garrett głosem myszki z filmów rysunkowych.

– Santorini jest oczywiście śliczne – zgadza się Swapna, a Garrett wydaje słyszalne westchnienie ulgi. – Ale my potrzebujemy czegoś z polotem.

Znowu patrzy na mnie. Znacząco. Wiem dlaczego. Chce, żebym to ja napisała ten artykuł. Po to zostałam tu zatrudniona.

Żołądek mi się kurczy.

– Pomyślę jeszcze i w poniedziałek przyjdę do ciebie z jakąś propozycją – obiecuję.

Swapna kiwa głową na zgodę. Garrett obsuwa się na krześle. Wiem, że on i jego chłopak rozpaczliwie pragną darmowej wycieczki na Santorini. Pewnie jak każdy, kto pisze o podróżach. Albo nawet jak każdy, kto żyje na tym świecie.

Jak i ja zapewne powinnam.

Nie poddawaj się – chciałabym mu szepnąć. Jeśli Swapna chce inspiracji, ode mnie na pewno jej nie dostanie.

Od dawna cierpię na jej niedobory.

– Myślę, że powinnaś cisnąć to Santorini – oświadcza Rachel, kręcąc kieliszkiem z różowym winem na mozaikowym blacie stolika kawowego. Dzięki prowadzonej przez nią stronie pijemy to idealne letnie wino za darmo.

Rachel Krohn – blogerka modowa, entuzjastka buldogów francuskich, nieodrodna córka Upper West Side'u (ale na

szczęście nie z rodzaju tych, które uważają, że to urocze, że ktoś może pochodzić z Ohio albo że w ogóle istnieje takie miejsce jak Ohio – czy ktoś w ogóle wie, gdzie to jest?) oraz profesjonalna najlepsza przyjaciółka.

Pomimo posiadania sprzętów domowych najwyższej klasy Rachel zmywa ręcznie wszystkie naczynia, bo uznaje to za kojące, i robi to w butach na czterocentymetrowych obcasach, ponieważ uważa, że płaskie podeszwy nadają się do jazdy konnej oraz do kopania w ogródku, i to tylko jeśli nie udało się znaleźć odpowiednich butów na obcasie.

Rachel była pierwszą osobą, z którą zaprzyjaźniłam się po przeprowadzce do Nowego Jorku. Pracuje jako influencerka (czytaj: płacą jej za to, żeby malowała się kosmetykami konkretnych marek i robiła sobie zdjęcia przy swojej pięknej toaletce z marmuru) i choć nigdy wcześniej nie przyjaźniłam się z inną Osobowością Internetową, okazało się, że ma to swoje zalety (czytaj: żadna z nas nie musi się wstydzić, kiedy prosi drugą o chwilę na ustawienie kanapek do zdjęcia). Początkowo przypuszczałam, że nie będę miała za dużo wspólnego z Rachel, jednak podczas naszego trzeciego spotkania (w tej samej winiarni na brooklyńskim Dumbo, w której siedzimy teraz) przyznała mi się, że we wtorki robi sobie zdjęcia na cały tydzień – stroje i fryzury zmienia w drodze między różnymi parkami i restauracjami – a w pozostałe dni pisze eseje i prowadzi profile paru schronisk dla psów w mediach społecznościowych.

Wylądowała w tym zawodzie przez to, że jest fotogeniczna, ma fotogeniczne życie i dwa bardzo fotogeniczne (choć wymagające nieustannej opieki medycznej) psy.

Ja tymczasem postanowiłam zbudować wokół siebie internetową społeczność obserwatorów tylko po to, by na dłuższą

metę zmienić podróżowanie w pełnowymiarową pracę. Dwie różne ścieżki, które zaprowadziły nas w to samo miejsce. Nie dosłownie oczywiście – ona nadal mieszka na Upper West Sidzie, a ja na Lower East Sidzie, ale chodzi o to, że obie żyjemy z reklam.

Biorę łyk wina musującego i obracam go w ustach, zastanawiając się nad tym, co powiedziała. Nigdy nie byłam na Santorini, a gdzieś w zagraconym domu moich rodziców, w pudle pełnym drobiazgów, które nie mają ze sobą absolutnie nic wspólnego, leży lista moich wymarzonych celów podróży, spisana jeszcze na studiach, i Santorini figuruje na niej dość wysoko. Czyste białe linie i wielkie połacie roziskrzonego, błękitnego morza wydawały mi się tak odległe od mojego zabałaganionego domu rodzinnego w Ohio, jak tylko potrafiłam sobie wyobrazić.

– Nie mogę – odpowiadam jej wreszcie. – Garrett przeżyłby spontaniczny samozapłon, gdyby Swapna klepnęła Santorini dla mnie, skoro to on je zaproponował.

– Nie rozumiem – stwierdza Rachel. – Naprawdę tak trudno ci się zdecydować, gdzie jechać na wakacje, Pop? Przecież nie ciułasz na nie przez cały rok. Wybierz jakieś miejsce. Jedź. Potem wybierzesz kolejne. Na tym polega twoja praca.

– To nie takie proste.

– Tak, tak. – Macha ręką. – Wiem, że twoja szefowa chce wakacji „z polotem". Ale jak tylko znajdziesz się w pięknej okolicy z kartą kredytową „RiO" do dyspozycji, pojawi się też polot. Nie ma dosłownie nikogo na tym świecie, kto miałby większe szanse na magiczne wakacje niż dziennikarka podróżnicza z dostępem do konta wielkiej spółki medialnej. Jeśli ty nie możesz się wybrać na wakacje z polotem, to jak miałoby się to udać całej reszcie tego cholernego świata?

Wzruszam ramionami i biorę kawałek sera z deski serów i wędlin.

– Może właśnie o to chodzi.

Rachel unosi jedną ciemną brew.

– Niby o co?

– Właśnie o to! – odpowiadam, a ona spogląda na mnie z oschłym niesmakiem.

– Nie zgrywaj mi tu słodkiej i kapryśnej – mówi ozięble.

W ustach Rachel Krohn „słodka i kapryśna" to prawie taka sama obelga, jak w przypadku Swapny Bakshi-Highsmith powiedzenie, że coś jest „modne". Pomimo delikatnej, mglistej estetyki fryzur, makijażu, ubrań, mieszkania i szaty graficznej mediów społecznościowych Rachel jest osobą do bólu pragmatyczną. Dla niej życie na świeczniku to praca jak każda inna, a trwa przy niej dlatego, że pozwala jej to opłacić rachunki (przynajmniej za ser, wino, kosmetyki, ciuchy i wszystko inne, co rozmaite firmy postanowią jej wysłać), a nie dlatego, że lubuje się w fabrykowanej półsławie, jaka się z nią wiąże. Pod koniec każdego miesiąca Rachel wrzuca post z najgorszymi, nieprzerobionymi zdjęciami ze swoich sesji i podpisuje: „ZDJĘCIA NA TYM PROFILU SĄ SPECJALNIE DOBIERANE, TAK ŻEBYŚ ZATĘSKNIŁA ZA ŻYCIEM, KTÓRE NIE ISTNIEJE. DOSTAJĘ ZA TO PIENIĄDZE".

Tak, Rachel chodziła do szkoły artystycznej.

I jakimś cudem ten pseudoartystyczny performance ani trochę nie nadwyrężył jej popularności. Gdy tylko jestem w mieście ostatniego dnia miesiąca, staram się umówić z nią na spotkanie przy winie, żeby popatrzeć, jak sprawdza powiadomienia i przewraca oczami, kiedy spływają nowe lajki i nowi obserwujący. Co jakiś czas wydaje stłumiony skrzek i woła:

– Posłuchaj tego! „Rachel Krohn jest taka odważna i prawdziwa. Chciałabym, żeby była moją mamą". Powtarzam im, że mnie nie znają, a do nich nadal to nie dociera!

Rachel ma mało cierpliwości do osób patrzących na świat przez różowe okulary, a jeszcze mniej do tych, które pogrążają się w melancholii.

– Nie jestem słodka – zapewniam ją. – A już na pewno nie kapryśna.

Łuk jej brwi się pogłębia.

– Jesteś pewna? Bo masz skłonności do jednego i drugiego, skarbie.

Przewracam oczami.

– Chodzi ci o to, że jestem niska i noszę jaskrawe kolory.

– Nie, jesteś drobna – poprawia mnie – i nosisz wyraziste wzory. Masz styl jak, powiedzmy, córka paryskiego piekarza z lat sześćdziesiątych, która pedałuje o świcie przez miasteczko i woła: *„Bonjour, le monde!"*, rozdając przy tym bagietki.

– Tak czy inaczej – mówię, wracając do głównego wątku – pomyśl, jaki to ma sens, żeby jechać na te absurdalnie drogie wakacje, a potem opisywać je dla garstki czterdziestu dwóch osób z całego świata, które mają czas i pieniądze, jakich potrzeba, żeby je odtworzyć?

Rachel zastanawia się przez chwilę, a jej brwi ustawiają się z powrotem w równej linii.

– Dobra, po pierwsze, nie zakładałabym, że większość czytelników wykorzystuje artykuły z „RiO" jako przewodnik, Pop. Ty pokazujesz im sto miejsc, oni wybierają trzy. A po drugie, w czasopismach wakacyjnych ludzie chcą oglądać idealne wakacje. Kupują je po to, żeby marzyć, nie żeby planować.

Nawet gdy wychodzi z niej Pragmatyczna Rachel, z tyłu zawsze czai się cyniczna Rachel Artystka, która wyostrza jej

słowa. Rachel Artystka przypomina trochę starucha wygrażającego niebu, ojczyma, który mówi przy kolacji: „Może odłączycie się na chwilę, dzieciaki?", a potem zbiera telefony do miski.

Uwielbiam Rachel Artystkę i wyznawane przez nią zasady, ale ich nagłe zjawienie się w ogródku winiarni wytrąca mnie trochę z równowagi. Kipią we mnie słowa, których nigdy dotąd nie wypowiadałam na głos. Skryte, niepewne myśli, które jeszcze nigdy nie odsłoniły się przede mną w pełni, nawet podczas wielu godzin, które przeleżałam na wciąż prawie nowej sofie w swoim nieprzytulnym, niezamieszkanym mieszkaniu podczas przestojów między wyjazdami.

– Jaki to ma sens? – powtarzam sfrustrowana. – Ty się tak czasami nie czujesz? Mam wrażenie, że tak ciężko pracowałam, wszystko zrobiłam dobrze…

– No, nie wszystko – wtrąca. – W końcu rzuciłaś studia, skarbie.

– …żeby dostać swoją wymarzoną pracę. I rzeczywiście ją dostałam. Pracuję w jednym z czołowych czasopism podróżniczych! Mam ładne mieszkanie! Mogę się wozić taksówkami bez zamartwiania się, na co tak naprawdę powinnam przeznaczyć te pieniądze, a jednak… – Biorę roztrzęsiony oddech, niepewna słów, które zaraz z siebie wyrzucę, choć właśnie w tej chwili cały ciężar ich znaczenia uderza we mnie jak worek piasku. – Nie jestem szczęśliwa.

Twarz Rachel łagodnieje. Przyjaciółka kładzie rękę na mojej dłoni, ale nie odzywa się, zostawia mi przestrzeń, żebym mogła mówić dalej. Zebranie się w sobie zajmuje mi trochę czasu. Czuję się jak niewdzięczna pizda, że w ogóle mogłam tak pomyśleć, a co dopiero przyznać się do tego na głos.

– Wszystko jest mniej więcej tak, jak to sobie wyobrażałam – podejmuję w końcu. – Imprezy, przesiadki na lotniskach

międzynarodowych, drinki w samolocie, plaże, łódki i winnice. I wszystko wygląda tak, jak powinno, ale czuję się w tym inaczej, niż się spodziewałam. Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że w ogóle czuję się inaczej niż kiedyś. Dawniej na parę tygodni przed wyjazdem zaczynałam chodzić po ścianach, wiesz? A kiedy wreszcie dojeżdżałam na lotnisko, czułam się tak, jakby… jakby krew we mnie śpiewała. Jakby powietrze wokół mnie tętniło możliwościami. Nie wiem. Nie za bardzo potrafię powiedzieć, co się zmieniło. Może ja.

Rachel zakłada ciemny, skręcony kosmyk włosów za ucho i wzrusza ramionami.

– Wtedy tego chciałaś, Poppy. Nie miałaś tego, a chciałaś mieć. Czułaś w sobie głód.

Od razu wiem, że ma rację. Przejrzała na wylot słowa, które mi się ulały.

– Czy to nie żałosne? – jęczę ze śmiechem. – Moje życie potoczyło się dokładnie tak, jak na to liczyłam, a teraz brakuje mi chcenia czegoś.

Drżenia pod ciężarem pragnień. Buzowania od potencjału. Wpatrywania się w sufit mojego nędznego – jeszcze sprzed „RiO" – mieszkania na piątym piętrze bez windy po podwójnej zmianie serwowania drinków w Garden i snucia marzeń o przyszłości. O miejscach, które odwiedzę, o ludziach, których spotkam – o osobie, którą się stanę. Czego jeszcze można chcieć, kiedy ma się wymarzone mieszkanie, wymarzoną szefową i wymarzoną pracę (która wyklucza zamartwianie się nieprzyzwoicie wysokim czynszem za wymarzone mieszkanie, bo i tak przez większość czasu jada się w restauracjach z gwiazdkami Michelina na koszt firmy)?

Rachel dopija swoje wino i nakłada trochę brie na krakersa, kiwając mądrze głową.

Sięgnij po
więcej!
www.wydawnictwokobiece.pl
kobiece
wydawnictwo.kobiece